

Powierzchnia i głębia – fragmenty dyskusji

Ryszard Ciarka: Zajmijmy się na początek numerami... Chodzi mi o tę niepełność, czyli nieparzystość, która jest rzeczą bardzo istotną – nawet liczba siedem, a więc liczba dni, kiedy powstawał świat, jest czymś szczególnym. Jest dziełem bożym. Nie ma tutaj równi. Przez te kilka dni Bóg tworzy świat... Bóg stworzył go w ciągu piętnastu miliardów lat, może w ciągu sekundy, albo ciągle go nam daje, tylko po prostu my nie jesteśmy w stanie tego dostrzec, bo widzimy coś, co nam przeszkadza w tym widzeniu: historię, doświadczenie, książki, wiedzę itd., rozmaite rzeczy. W tym rozumieniu jest to oczywiście ta książka i wiedza absolutna, to jest ten DI – on nam daje tę pewność. Ale niekiedy mówimy: „W dzień pierwszy stworzył coś takiego, potem w opozycji coś innego”. Stworzył coś na górze, stworzył coś na dole. Stworzył coś, co świeci w dzień, stworzył coś, co świeci nocą, i to wszystko jest idealnie ustrukturuwane. Ale nagle ta struktura pęka, gdy Bóg tworzy człowieka, który nie ma opozycji. Przynajmniej w Piśmie nie jest napisane, że taka opozycja istnieje. Czyli stwarza strukturę otwartą.

Stąd moje pytanie do dwóch panów – pana, który w Oxfordzie wyklada najpiękniejszą z nauk, i w stronę teologa, który dotyka rzeczy również najpiękniejszych, chociaż czasami strasznych. Podejrzewam, że pan z Oxfordu również dotyka rzeczy pięknych, ale w swej prostocie strasznych... Czy poszukiwanie tych wzorów nie jest pewnym ograniczeniem? Bo my chcemy, żeby to, co z prawej strony, zgadzało się z tym, co z lewej strony. I może właśnie dlatego fizyka nie opisz nam nigdy czegoś *p o z a*. A jeżeli odwołamy się do tej struktury – jakby pękniętej, niedokończzonej – która daje nam zupełnie coś innego, otwiera nas na coś innego. Chcę zwrócić właśnie uwagę na to DI – to jest moment, kiedy działa szatan. Diabeł, którego znam z historii naszej, z kultury przyziemnej, kultury ludowej, to jest niebezpieczna istota, która próbuje wszystko ustawić. Bez Boga. I wszystko się będzie zgadzać, wszystko będzie piękne, jesteśmy zachwyceni tym, nie zdając sobie sprawy, że to właśnie ten „diabeł”, „diabolo” wchodzi i proponuje nam zupełnie inną wiedzę,

która nie pozwoli nam nigdy wyrwać się z tego kręgu, z tego koła, które w filozofii bardzo często jest przedstawiane – będziemy w nim jak w młynie. Po prostu coraz bardziej miały. Młyńskie koła po prostu miały. Żeby nie powiedzieć całkują – miały. I jesteśmy zmiałowani.

Michał Klinger: Bardzo wiele spraw pan poruszył... Zacznę może od tej dychotomii, o której pan wspominał. Staram się tak mówić, żeby to jakoś dochodziło do tego wątku doświadczenia ekstremalnego – chodzi mi o sens opisu stworzenia świata, opisu tych sześciu czy siedmiu dni – bo siódmy dzień to jest dzień odpoczynku, szabat. Dlaczego to jest właśnie sześć dni, to jest osobne pytanie – to ma najprawdopodobniej sens, powiedzmy, literacki. Na pewno autorowi nie chodzi o to, żeby pokazać sześć epok tworzenia fizycznego świata, jak uważano zawsze – bardzo łatwo pokazać w tekście, że to jest niemożliwe. Autor był świadom każdego słowa, jakiego używał, i nie popełniłby takiego błędu, że z początku są rośliny, a potem jest słońce – a tak jest właśnie w tym tekście. O coś innego w tym chodzi. Istnieją teksty bardziej pierwotne – na przykład w Księdze proroka Izajasza Bóg mówi wprost: „Ja jestem stwarzający światło i ciemność, dobro i zło”. Tekst w Księdze Rodzaju na początku wyraźnie się do tego odnosi – prawdopodobnie z tego względu, że to jest to takie zderzenie z dualizmem perskim: tekst Izajasza mówi wprost, wyraźnie do Cyrusa. A Cyrus był Persem i znał zoroastryjską koncepcję dualizmu świata. Autor wyraźnie polemizuje z tym tekstem, jednocześnie akceptując go. Podział na dobro i zło jest najważniejszym podziałem duchowo-egzystencjalnym całej ludzkości. Do dziś tego nie przezwyciężyliśmy, zresztą wcale nie mamy zamiaru tego przezwyciężyć: dobro i zło działają w świecie. Ten tekst pokazuje, że Bóg jest na szczycie tej triady – bo to nie jest diada, tylko triada. Ja stwarzam. Tylko że w odróżnieniu od tekstu proroka Izajasza tekst tzw. heksaameronu, czyli stworzenia świata w sześć dni, zawiera bardzo ciekawy zabieg. Można powiedzieć dlaczego na początku Bóg tworzy światło i ciemność. Dlatego, że tak naprawdę świat jest w napięciu między ciemnością i jasnością, między dobrem i złem. Tylko że to Bóg jest stwórcą wszystkiego – to jest jakby budowanie monoteizmu. Ten tekst, heksaameron, w sposób niezwykle subtelny zwalnia Boga z odpowiedzialności za ciemność. Choć właściwie zwalnia i zarazem nie zwalnia... Proszę zwrócić uwagę, że Bóg tworzy światłość, oddziela ją od ciemności, ale nie jest nigdzie powiedziane, że tworzy tę ciemność. Czynność stwórcza Boga odnosi się tylko do światłości, ciemność zaś jest oddzielona. Oddzielona. Więc to jest pierwsza uwaga. Właśnie dlatego od tego ten tekst się zaczyna – po to jest ten opis stworzenia świata, żeby uporządkować duchową strukturę myślenia człowieka. Jest w tekście o stworzeniu bardzo ciekawa sytuacja, której może od razu nie widać – dwa razy nie

ma pewnego ważnego zdania: „I widział Bóg, że było dobre”. Dwa razy tego brakuje. A kiedy? Mianowicie w drugim dniu, kiedy co się stało? Bóg tworzy *rakija*, to sklepienie niebieskie, aby dzieliło świat górny od świata dolnego. I to jest koncepcja dotycząca wyraźnie dychotomii świata, gdyż ta dychotomia była takim obrazem starożytnym, jak w drugim przykazaniu bożym: „Nie uczynisz sobie obrazu ani na górach, ani na górze w niebie, ani na dole na ziemi, ani w wodach podziemnych”. I to jest ten podział świata, tylko że sklepienie dzielące świat na te dwie dziwne sfery nie jest określone mianem: „I widział Bóg, że było dobre”. Nie jest powiedziane, że jest dobre. Ten brak jest widoczny dla bardziej uważnych czytelników – i na przykład tłumacz grecki dodał tam to: „I widział Bóg, że było dobre”. Ten tekst w każdym przecinku jest do końca świadomy, niczego tam nie zapomniano, nic tam nie znalazło się przez pomyłkę. Drugi raz nie mówi się o tym, że coś było dobre, kiedy Bóg czyni człowieka. Tam też nie jest powiedziane, że widział Bóg, że było dobre...

Stanisław Krajewski: Jest na obraz...

M.K.: Nie, nie... Ale dlatego tam tego nie ma, że ten człowiek w końcu nie okaże się tak w stu procentach dobry.

S.K.: Najwyżej jest bardzo dobry, akurat.

M.K.: Ale wszystko jest bardzo dobre, wszystko. „I widział Bóg...”, i ukończył. Jest ogólna dystynkcja, że wszystko jest bardzo dobre, ale nie człowiek. To nie odnosi się do człowieka, tylko zostaje powiedziane po zakończeniu całego dzieła: widział Bóg, że wszystko było bardzo dobre. To oczywiście jest pewnym wybiegiem, bo właśnie ten tekst stara się nie stawiać pewnych kropek nad i. Jakich kropek? W ogóle: jaka jest tajemnica? Ten tekst nie uprawia apokaliptyki. Bo apokaliptyka jest zawsze powiedzeniem czegoś za bardzo. Ten tekst jest bardzo świadomy, a teraz ty, Staszku, twierdzisz, że to się do człowieka odnosi...

S.K.: Dla mnie to jest jedna z podstawowych interpretacji (nie mówię, że jedyna) – że to się odnosi do człowieka. Druga natomiast zakłada, że to dotyczy śmierci. Że to „bardzo dobre” jest dlatego, że jest śmierć. Wyobraźmy sobie, że wszystko jest nieśmiertelne, z nami włącznie... Wtedy na pewno byśmy nie mieli tej konferencji. No, może z nudów...

M.K.: W tym tekście słowa: „Jak ukończył, Bóg widział, że wszystko jest bardzo dobre” nie odnoszą się do człowieka. To jest wyraźnie widoczne.

S.K.: To jest tuż potem, i można to łączyć. Oczywiście już nie pamiętam dokładnie jak to tam jest...

M.K.: A ja pamiętam dokładnie jak to jest i zdecydowanie nie. Zresztą takie są komentarze, przecież tego nie wymyślam. Jest taki problem, który lubię zawsze przytaczać, taki jeden midrasz właśnie na ten temat. Brzmi on mniej więcej tak, że jak Bóg tworzył człowieka, to przyszła do niego jego mądrość, i tam jest powiedziane: „czyńmy”, jest liczba mnoga, współudział

rozmaitych wielkich duchów, czy – jak to filozofia aleksandryjska, żydowska mówiła – boskich idei. To przyszła do niego jego mądrość, jedna z wielkich jego idei, i mówi: „Nie czyń człowieka, bo nie będzie on mądry”. Potem przychodzi do niego jego sprawiedliwość i mówi: „Nie czyń człowieka, bo nie będzie on sprawiedliwy” i tak dalej, wszystkie wielkie idee przychodzą po kolei i mówią: „Nie czyń człowieka”, nie będzie on zgodny z tym wielkim zamysłem. I na końcu przychodzi do niego jego miłość i mówi: „Uczyń człowieka”, i Bóg słucha tylko miłości. Taka jest interpretacja w tym midraszu. To a propos tej dychotomii – czy to coś wyjaśnia?

Zbigniew Benedyktowicz: Odniosę się do tekstu pana Bohdziewicza, który spotkał się z tekstem Kuby Szpilki. Było to ciekawe i poruszające. Mam tylko jedną wątpliwość, pytanie: odkrywając powierzchowność współczesnej kultury, mówił pan o niej w sposób, powiedziałbym, pozytywny, niekrytyczny. Pojawiło się tam coś takiego, że to nie głębia jest w opozycji do tego głębokiego poznania... To, co pan zrobił, odkrywając tę kwestię jednorazowości naszego ograniczenia, naszego życia itd. w kontekście pojęcia ekstremalności i tych zjawisk we współczesnej kulturze, było dla mnie w pewnej mierze sprzeczne. Pana tekst był głęboki, mimo że mówił o powierzchowności, o tym „interfejsie”, o charakterystyce przeskoku kulturowego do innej epoki... Czy my tracimy wrażliwość na głębię? Bo to jest w pewnym sensie wyrok na te wszystkie metafory, na język doświadczenia religijnego – stwierdzenie, że dawniej był ołtarz, i to już *passé*. Albo jesteśmy w innym świecie... Myślę, że tutaj w ogóle mamy do czynienia z problemem komunikacji przy pomocy tych mediów – są oczywiście spory, czy te narzędzia nam ułatwiają i pogłębiają nasz kontakt, czy właśnie są takim powierzchownym kontaktem, o którym pan mówił. Chciałem zapytać o tę opozycję: powierzchnia – głębia.

Janusz Bohdziewicz: Właśnie zastanowiłem się nad tym, że owszem, można tak charakteryzować te nowe media, mówiąc, że w zasadzie nie posługujemy się nimi – że są narzędziem, ale na dobrą sprawę nie wiemy, co właściwie kryje się pod spodem. Tylko że kiedy prowadzę samochód, to też tylko trzymam kierownicę i nie wiem, co jest w silniku. Dodałbym trzy rzeczy: jeśli chodzi o tę powierzchnię: mam nadzieję, że jednak druk nie wyeliminował żywego słowa – bo oto tu jesteśmy, rozmawiamy – wprowadził za to coś nowego, co zmodyfikowało sposób używania słowa. Myślę, że ta nowa kultura nie oddali zupełnie ani transcendencji, ani głębi; chodziło mi raczej o podkreślenie, że dzieje się coś nowego, co niekoniecznie trzeba łączyć do starych buklaków i rozumieć według pewnych starych kategorii (choć nie odrzucam ich).

Pojawia się ta faza elektralna, to jest pomysł Gregor’ego Umera: moralność, piśmienność – on to nazywa *electracy*. Elektralność to nie jest zbyt eleganc-

kie tłumaczenie, ale chodzi o to, że to coś nowego, że pojawia się nowy rodzaj doświadczenia. I druga rzecz: mam skłonność do idealizowania nowych mediów czy zwyczajności tego, co robią ludzie – mam taką intuicję, że ludzie na ogół mają rację. Można się obrażać na pewien rodzaj zachowań – wielu ludzi się oburza na rozerytowanie współczesnej kultury, ale ja mam poczucie, że ujawnia się tu coś prawdziwego, co wymaga wyprowadzenia. To, że telewizja jest dziś taka straszna, to jest poniekąd zasługa intelektualistów – po prostu odpuszczono sobie tę dziedzinę. Nie pojawiało się w niej za dużo refleksji na temat kultury masowej – a ona wymaga wprowadzania, swoistego hodowania. To, że zalewa nas banal, to trochę nasza wina. Chciałbym się tutaj odwołać do idei Janelit Mansiego – kiedy pisze na przykład o filmie, to odwraca platonizm, zakładający, że żyjemy w takim konstrukcie, że istnieją pewne idee i my próbujemy dojść do tych idei, że żyjemy w świecie nieudolnych kopii. A on twierdzi coś przeciwnego: na przykład na błonie filmowej ujawnia się idea świata. Nie ma jej nigdzie indziej – ona jest właśnie na błonie filmowej, pojawia się na obrazie. Obraz czy dzieło sztuki są kwintesencją, czystą powierzchnią, i ta czysta powierzchnia całego 13,7 miliarda lat rozwoju wszechświata kumuluje się w tym jednym obrazie. To jest myślenie idealistyczne, ale chodzi o to, żeby uznać to, co się dzieje na samej powierzchni, za cymes cymesów. Nie ma żadnych ogólnych idei, nie ma projektu wszechświata, albo: ten projekt pojawia się na błonie filmowej. Jest samą delikatnością.

Jeszcze jedna uwaga à propos tropów powierzchowności: jeśli porównuję używanie komputera do prowadzenia samochodu – gdy nie wiemy dokładnie, co się dzieje w komputerze, nie myślimy o tym – to zakładam, że jest to podobna sytuacja, tylko o wiele poważniejsza. Jestem głęboko przekonany, że tak jak czynności czytania i pisanie były kiedyś elitarne, a potem stały się własnością wszystkich, tak można zakładać, że przyszła kultura nie będzie kulturą pisarzy, tylko kulturą programistów. Nie będzie kulturą czytania, tylko używania programów i aplikacji. Tego oczywiście nie da się sprawdzić – to pewna intuicja. Problem polega na tym, że my wyprowadzamy swoje myślenie do procesorów, do społeczności, w których na przykład możemy brać udział w rozmowie blogowej; rzucamy jakiś temat, potem go zostawiamy, tam ludzie dyskutują, wchodzimy za dwa lata, a ta myśl jakby sama ewoluowała. Społeczność jest też pewnym procesorem. To jest poważna sprawa, komputery i technologie elektroniczne – one są przede wszystkim mediami naszego myślenia. My je wyprowadzamy i to nie jest taka błaha rzecz. Procesor myślowy, procesor tekstowy: on już podejmuje pewne decyzje. To się będzie pogłębiać, są już programy tłumaczące, które są coraz bardziej zaawansowane...

Wojciech Michera: W pańskim wystąpieniu było bardzo dużo myśli, które mi są bliskie i które mi się podobają, ale mam jedną wątpliwość. Całkowicie się zgadzam z tą pochwałą powierzchni, bo to powierzchnia jest właśnie ekstremalnością: jeśli weźmiemy przykład obrazu, poszerzymy, zmetaforyzujemy, potraktujemy teoretycznie jako pewien model, to ekstremalnym punktem obrazu jest jego powierzchnia. Wielkim grzechem myślenia metafizycznego jest zapomnianie o tym, w takim głęboko filozoficznym sensie – tutaj można by przywołać wielu myślicieli... Chodzi o zapomnienie o tej powierzchni, nazbyt łatwe przechodzenie w głąb, do głębi, do istoty. Są to różne formy idealizmu, które nazbyt łatwo pozwalają sięgać do samej głębi prawdy, tymczasem „nie ma łatwo”. Potrzebne jest przypomnienie sobie o tym, co jest najbardziej nieuchwytnie, właśnie o tej strasznej powierzchni, która jest rzeczą nieusuwalną. Modelowo mówiąc, myśli się o nieświadomości psychoanalitycznej jako o czymś ukrytym głęboko, co można by odkrywać za pomocą bardzo skomplikowanej hermeneutyki, podczas gdy – jak mówi Lacan – nieświadomość nie jest gdzieś głęboko, tylko jest samą powierzchnią, o której się zapomina; jest językiem, którym się mówi. To w języku próbujemy wypowiedzieć prawdy, podczas gdy powierzchnią jest sam język, którego nie da się odrzucić. Żaden idealizm nie da możliwości, żeby to odrzucić. Moja wątpliwość dotyczy mimo wszystko pewnego stosunku do tych współczesnych mediów, na tej zasadzie, że niektórym osobom (jak je znam) taki sposób mówienia o współczesnych mediach się nie podoba, ale to jest indywidualna sprawa, i w tym nic nie ma złego – mnie to nie razi, ale razi mnie zapomnianie, że owszem, ta współczesna kultura ze wszystkimi okolicznościami pozwala pewne rzeczy zobaczyć – ale pozwala zobaczyć coś, co było od zawsze. Problem z istnieniem powierzchni jako czegoś nieusuwalnego jest nieusuwalną sprawą ludzkiej kultury. W związku z tym te współczesne media może tak zmuszają nas do przemyślenia tego, co nie znaczy, że to coś się pojawiło dopiero teraz. Wspomniany tutaj parę razy przez pana i przeze mnie Derrida mówi, że pismo poprzedza słowo mówione – nie jest idiotą, to jest też pewna metafora. Choćby nie wiem jak się starać, nigdy nie da się usunąć tego wymiaru powierzchni. Jest ona być może najbardziej fundamentalną sprawą, którą trzeba przemyśleć, najściślej powiązaną z zagadnieniem ekstremalności. To są te najodleglejsze granice świata, poprzez które trzeba przejść, żeby dotrzeć do jakiegokolwiek istoty – a ta zawsze jest już istotą nawiedzoną przez ową powierzchnię.

S.K.: Trudno mi zebrać myśli, żeby odpowiedzieć na te pytania z sensem. Tak sobie myślę, że jednym z tematów czy motywów, który się pojawiał wielokrotnie, chociaż nie zawsze całkiem wprost, była kwestia bycia ekspertem. Począwszy od referatu Krzysztofa Meissnera: żeby człowiek się znał, to musi trzy lata spę-

dzić z tym równaniem; czy poprzez te różne przykłady, które mieliśmy, można zrozumieć kogoś, kto przeżył jakieś rzeczy, no nie wiem, zjechał na nartach z Mount Everestu czy był w mogile masowej po egzekucji, ale przypadkiem ocalał... Jednym słowem: jest wiele rzeczy, które wydają się nie do zrozumienia dla kogoś, kto ich nie poznał – czyli nie jest ekspertem z tej dziedziny. Bycie ekspertem zajmuje z reguły dużo czasu, można być ekspertem tylko w niewielu dziedzinach przecież, nikt z nas nie potrafi być ekspertem od wszystkiego. Chodzi mi o to, w jaki sposób ktoś, kto jest ekspertem od czegoś, może mówić o tym do innych, którzy nie są ekspertami, tak, żeby to było znaczące dla tych innych i coś im dało. Każdy z nas próbuje to robić, inaczej nie miałoby to sensu – a jednak w jakimś stopniu to się udaje. Uda się dlatego, że wspólny grunt jest jednak niedostateczny i że te metafory jakoś funkcjonują właśnie w ten sposób, że trafiają. Z tą powierzchnią nie jestem całkiem pewien, czy rozumiem, o co chodzi. Ale jeśli chodzi o to, że język, którym mówimy, czy w ogóle środki wyrazu, one są w pewnym sensie na powierzchni, no bo ich używamy, te farby malarza, to są te farby i to płótno, i to jest powierzchnia, używamy ich po to, aby wyrazić coś głębszego, żeby wyrazić coś, co, najogólniej rzecz biorąc, jest jakimś naszym obrazem świata. Sam obraz jako taki, czyli jakiś zestaw bitów, nic nie mówi, nie ma żadnego sensu, żadnego znaczenia – zyskuje sens i znaczenie dopiero dla kogoś, kto patrzy i widzi tam coś, co trafnie czy nietrafnie umieścił twórca. Każdy obraz można teraz zdigitalizować i zrobić taką tabelę, gdzie będzie napisane, w jakim bicie, w jakim punkcie jest jaki kolor, i dać to komukolwiek, taką płachtę. Nikt z tego nic nie zrozumie, bo to jest wtedy zrobione przy pomocy innego języka, innej techniki – ta powierzchnia jest inna, jest dla nas kompletnie nieprzystępna. Powierzchnia, płótno z tymi kropkami kolorowymi, to jest to „coś” właśnie, co umiemy odczytywać – dlatego boję się, że ta metafora powierzchni coś zamyka zamiast otwierać. Ale być może ja czegoś tu nie rozumiem. Natomiast wydaje mi się, że ona jest z kolei trafna w innej sytuacji. Wydaje się, że jednak wbrew temu, co pan tu mówił, to jest różnica między samochodami sprzed lat trzydziestu i dawniej a samochodami współczesnymi. Wtedy można było jakoś z grubsza się orientować, jak samochód działa, były jakieś tłoki, iskra, to wszystko było dosyć zrozumiałe. Nie bardzo proste, ale jednak dosyć proste. A teraz jest komputer, który tym wszystkim steruje – jak działa komputer, tego już nikt nie rozumie. Tego nawet ci faceci w tych stacjach obsługi nie rozumieją, tylko mają jakąś metodę, że w razie czego coś się przeprogramowuje albo zastępuje nowym modulem coś, co się zepsuło. To jest wielka zmiana – wydaje mi się, że jednak do niedawnych czasów można było zrozumieć działanie właściwie wszystkiego – nawet tych samochodów, a co dopiero żurawia, który w studni wodę ciągnął. Wszystkie te

maszyny były do zrozumienia. Teraz już nie są. To jest dosyć przerażająca, nowa sytuacja... Nie wiem, jakie będą jej konsekwencje, może nie takie straszne, może jakoś potrafiemy sobie z tym poradzić. Chodzi mi o to, że teraz po raz pierwszy rzeczywiście są takie dziedziny, w których już żaden ekspert nie wystarczy. Żeby zrozumieć, jak działają takie bardzo skomplikowane programy, tworzone są całe zespoły ludzi i nie ma nikogo, kto w pełni rozumie wszystkie fragmenty. Oczywiście musi być ktoś, kto jest szefem i z grubsza to ogarnia, jak to się teraz mówi – to musi być ktoś taki, bo bez tego by nic nie było... ale jednak jest tak, że nawet są teraz dowody matematyczne robione przez jakąś grupę ludzi, że nie ma nikogo, kto by cały ten dowód prześledził, bo to jest już za duże. Jednym słowem: coś takiego się zmieniło, że już tylko zespoły, wielu ekspertów naraz może być w stanie coś opanować – i to jest chyba zmiana cywilizacyjna. Więc to jest kwestia ekspercka. Ale jest jedna taka dziedzina – każdy z nas jest w niej ekspertem, nie dlatego, że jesteśmy jacyś tacy świetni w jakiejś nauce czy w jakiejś umiejętności, ale każdy z nas jest najlepszym na świecie ekspertem w dziedzinie, która się nazywa „moje życie”.

Z.B.: Widzę, że po raz pierwszy jakaś prawdziwa kontrowersja powstaje. Bardzo się cieszę. Nie ma lepszych ekspertów od mojego życia niż ja. Jednak, mimo wszystko. Rozumiem, że człowiek może siebie nie rozumieć, ani swoich stosunków z innymi ludźmi. Są terapeuteci... Najbardziej wątpliwym gatunkiem literackim jest autobiografia.

J.B.: Rzeczywiście jest ten kluczowy problem: czy możemy mówić lub pisać w taki sposób, żeby to nam i odbiorcy mówiło coś ważnego? I ostatecznie, kiedy myślimy o tych różnych przykładach, które tu były, o tej codzienności, która może być taka mówiąca, czy jakichś wydarzeniach codziennych, i tych ekstremalnych, czy historiach biblijnych, które oczywiście można trochę inaczej interpretować... Powstaje pytanie: co mnie to mówi. Każdy sobie zadaje to pytanie – i to ma sens dopiero wtedy, jeśli to faktycznie mnie coś mówi, mnie w tej mojej sytuacji, w obecnej chwili. Nie wiem, jak to się ma do ekstremalności, ale z tej perspektywy każde życie – życie każdego innego człowieka – jest ekstremalnym przykładem czegoś, więc w tej przestrzeni wszystkich możliwych żyć każdy z nas jest na jakimś ekstremum. Z tym, że to nie zawsze jest znaczące dla innych.

M.K.: Ostatnio widziałem sztukę zrobioną przez Tomasza Rodowicza w teatrze Chorea, pod tytułem *Mózg*. Była poświęcona fascynacji neuronami – to oznacza, że nasz organizm łącznie z procesami myślenia będzie właściwie możliwy do zbadania. Nie pamiętam, kto z państwa to powiedział, że można w końcu ustalić stan wszystkich atomów, ile ich jest w naszym ciele, i ten stan jest jakoś interpretowany... Dwieście lat temu tak myśleli. Teraz już nie można. W końcu ilość

tych atomów i ich położenie... one są jakimś kontinuum. W każdym razie była taka sztuka i jej zasadą było, że aktorzy mogli trochę improwizować – uważam, że wielkim walorem artystycznym tej sztuki było to, że ta piątka aktorów nie pozwoliła się zredukować; nagle się okazało, że ich uczucia są dla nich ważniejsze niż cała ta powierzchnia, o której pan mówił. Mnie się bardzo podobało to, co pan powiedział – to do mnie przemawiało. Ale jest coś – jakaś inna powierzchnia czy jakieś sklepienie – co prawdopodobnie rozdziela nasz świat na świat psychiczny i świat logosu, czyli tego, co się da zmierzyć.

To jest stare pytanie Eliadego (ja to lubię Eliademu przypisywać) dotyczące zjawisk kulturowych, psychicznych czy religijnych przede wszystkim – że nie można ich zredukować. Oczywiście jest wiele prób i teorii głoszących, że absolutnie one się wszystkie redukują, walczą, o to, żeby człowieka zredukować, na przykład: miłość też jest jakimś układem działań biofizycznych. Otóż powstaje pytanie jest: czy to się da zrobić? To jest właśnie ta jakby legenda o wielkim inkwizytorze Dostojewskiego – kontynuuję odpowiedź panu, bo ja przecież nie odpowiadałem na wszystkie pana wątpliwości – że zbudowana jest taka sfera pewnego dobrze funkcjonującego organizmu. Dostojewski nawet używa takiego mitu, że wszystko jest rozwiązane, przyjdzie antymesjasz, antychryst, wszystko zorganizuje, nie będzie żadnych problemów. Tylko co wtedy będzie? Człowiek musi się czegoś wyżyć – i właśnie to jest to, co, moim zdaniem, wtedy nie zadziała; to jest właśnie to, co Staszek wymieniał jako tych kilka pojęć podstawowych dla nas, dla mnie, ekstremalnych: miłość, śmierć, narodziny, cierpienie, może jeszcze coś... Są takie stany, które moim zdaniem nie dadzą się zredukować, je trzeba po prostu przeżyć – i one nigdy nie wyjdą z żadnego wyliczenia, i to jest pytanie po prostu do cywilizacji, ale też do pana, no bo istnieje bardzo wiele technik, które naśladują uczucia... Podobno można się kochać z komputerem, można smaki i zapachy jakoś tam z tego pociągać... Na Krupówkach było kino 7D...

M.K.: Są filmy Lyncha, gdzie ta ikonosfera zaczyna być nierozróżnialna od przeżycia erotycznego, i to jest jakieś pytanie... Myślę, że ten antychryst jest tak mocny, że potrafi i tu sięgnąć, i być może jednak musimy o coś walczyć. Bardzo mi się podoba to, co pan powiedział: nie oskarżajmy o nic kultury. Ale dlaczego jest pan taki niekonsekwentny, dlaczego pan mówi, że telewizja jest straszna? Tam jest kupa miłości, owszem, tej takiej erotycznej, pornograficznej, ale to jest tęsknota człowieka za tym ekstremalnym uczuciem. Tu się nie mówi za dużo o miłości, ale jednak się od tego nie da uciec, bo to jest największe przeżycie, co do którego już nie mamy żadnych wątpliwości – to jest podstawowe, ekstremalne przeżycie, które jest zdolne wszystko z nami zrobić i dla mnie to jest świadectwo,

że koniec świata jest jeszcze daleko, że ludzie jeszcze sobie radzą.

W.M.: Problemem nie jest tu redukcja – nie chodzi o to, że się nadmiernie redukuje, na przykład do wzorów, struktur itd. Jest odwrotnie. Sprawą, którą trzeba sobie uświadomić i o której chciałbym mówić, jest pewna nadwyżka. Rzecz jest bardziej skomplikowana niż się wydaje. Mamy do czynienia z rzeczami, w których jest pewien nieredukowalny naddatek, z którym nie ma jak sobie poradzić. To jest właśnie ta powierzchnia. Wracam do tego, bo to jest fundamentalne niezrozumienie. O co tu chodzi? Powiem na przykładzie bycia znawcą samego siebie – już o tym wspomniałem, że autobiografia jest najbardziej niebezpiecznym gatunkiem literackim, ponieważ daje złudzenie bezpośredniego dostępu. Jest to złudzenie tekstu, który mówi samą prawdą – któż wie lepiej, czy będzie wiedział o tym, o czym mówię, jeżeli nie ja sam? A właśnie autobiografia jest najlepszym przykładem nieusuwalności tego naddatku, tej powierzchni, przez którą musimy przejść, i która sprawa, że wszystko doznaje pewnego rodzaju wypłaszczenia. Czyli głębia nie jest źródłowa, tylko jest efektem pewnej projekcji, pewnego tworzenia złudzenia, które nie jest fałszem. Ale nie ma innej głębi niż ta, którą wyprojektowujemy.

Był numer „Kontekstów” o Lewisie, jest tam tekst *Głowa Holofernesa* mówiący o autobiografii Lewisa, który wprowadza biblijną figurę Holofernesa... Autobiografię zawsze piszemy z perspektywy Holofernesa i jego uciętej głowy. Czy inaczej: trzeba uciąć sobie głowę, żeby móc o sobie pisać. Metaforycznie powiem, ta płaszczyzna miecza ucinającego jest ową płaszczyzną powierzchni – o czymkolwiek mówimy, nawet o miłości, to zawsze mówimy, nawet jeżeli nie wypowiadamy słów. Zawsze następuje to cięcie, które musi być dokonane, żeby do czegośkolwiek dotrzeć. To jest to odwrócenie. To bardzo trudna, poważna sprawa, której nie należy zbywać tym, że to nie jest zrozumiałe. Myślę, że to jest punkt naprawdę istotny i związany z pojęciem ekstremum – żeby dostrzec to, że nawet głębia jest elementem pewnych konstrukcji, działań, wysiłku, pewnego mocowania się. Że nie jest tak, że te uczucia po prostu są i z nich coś wypływa. Wszystkie te sytuacje są efektem mocowania się, wysiłku. Metafora powierzchni jest więc niezbędna jako właśnie to, z czym trzeba się mocować. To nie jest tylko przeszkodą, którą trzeba odrzucić, żeby wreszcie osiągnąć stan dobroci, tylko właśnie metaforą czegoś, co jest ciągłym wymogiem, czymś co sprawa, że życie w ogóle jest trudne – nie tylko w tych ekstremalnych sytuacjach, ale w każdej sytuacji wymaga mocowania się, żeby stworzyć wrażenie głębi.

Kuba Szpilka: Kiedy mówisz o tej powierzchni, to jakby powiadasz najpierw tak: musimy cały czas wiedzieć, że ona jest. A potem mówisz, nawet jeżeli przez nią przechodzimy, to musimy wiedzieć, że się z nią

mocujemy. Może coś gubię, nie rozumiem. Powiadasz: nawet jeżelibyśmy przez nią przeszli... Nie da się przejść nigdy nigdzie, bo zawsze będzie tylko to. Czy ja cię dobrze rozumiem?

W.M.: Nie wiem, czy ja ciebie dobrze rozumiem...

K.Sz.: Z tą powierzchnią, powiadasz, jest coś ekstremalnego. Wróćmy do pojęcia ekstremalności. Mówisz o wysiłku, o przepracowaniu, a to pozostaje w jakiejś sprzeczności z tym pojęciem... Ten wysiłek jest pewnym ruchem czy pewną energią, która jest gdzieś, w jakąś stronę skierowana. Jest pytanie, czy to „gdzieś” musi oznaczać zawsze ruch horyzontalny? Czy pewna wertykalność, pewna głębinowość jest z definicji czymś niemożliwym? Czy to znaczy, że gdziekolwiek przyłożymy swoją energię, jeżeli chcemy ją przyłożyć – a wydaje mi się, że w pojęciu ekstremalności fundamentalne jest także to, że chcemy, bo nie da się pomyśleć ekstremalności bez pewnego *chce my*. Wszystko, co możemy zrobić, to w istocie przesunąć ciężar w inne miejsce – i pobrzmiwa w tym dla mnie stwierdzenie, że to jest trochę bez sensu, że to jest takie krzątanie, bo musimy się krzątać, żeby nam nie było, powiedzmy, zimno. Jak jest zimno, to się krzątamy, ja na przykład nie lubię palić w piecach, no to wolę się krzątać. Ale że to do niczego nie prowadzi...

M.K.: Tak. To nie ma sensu! To nie ma sensu! To do niczego nie prowadzi, ale tutaj należałoby wprowadzić rozróżnienie lokalności i uniwersalności. Zawsze pozostajemy w pewnym lokalnym obszarze prowizorycznego celu, sensu... ale sens uniwersalny musiałby wypływać z pewnego źródła, trzeba zrobić założenie o istnieniu Boga, który to wszystko przewidział i uruchomił.

K.Sz.: Ale dlaczego musimy zrobić takie założenie? To jest bez sensu. To świadczy o tym, że każdy sens, o który walczymy, jest pewną projekcją, pewnym wysiłkiem, pewnym sensem, zawsze tymczasowym, zawsze lokalnym...

M.K.: Dobrze. Dobrze. Ale czy samo to, jak mówisz, projektowanie, to szukanie nie jest sensowne? W takim oto znaczeniu, że albo mamy taki biedny sens, ale jednak, albo nie mamy; wtedy mamy bezsens. Bezsens wymaga większej odwagi.

M.K.: Ty dopiero ekstremalnie sobie zarządzasz. Żyjmy sobie w bezsensie, ale tak żyjemy w tym bezsensie, żeby to był sensowny bezsens. Tak mówisz. To jest taka konstrukcja... Ale człowiek prosty, któremu nie idzie tylko o słowną i intelektualną igraszkę oraz rafinadę, ale chodzi o to – w tym sensie się zgadzam ze Staszkiem – że każdy z nas jest ekspertem dla siebie o tyle, że musi sobie powiedzieć coś, co sprawi, że się chce wstać z łóżka, że mu się chce. To „chcę” jest czymś w ogóle dramatycznie ważnym...

K.Sz.: Ale ja nie potrzebuję go kompletnie! Ja nie potrzebuję, żeby mi coś było dane z góry! Sens jest w tym, że mi się chce. To jest sens! Resztę chrząnię!

Nie potrzebuję porządku, który mi mówi, żeby było lepiej, skoro nigdy ma nie być dobrze. Lepsze jest wrogiem dobrego. Czy do tego jest mi potrzebny pan Bóg? Jeżeli rozumiem to, co powiedział Krzysztof, to czy fizykom do tych ich wspaniałych szali jest potrzebne to, że potem z tego poleci samolot? Ależ nie! Po co oni to robią? Bo im się chce.

J.B.: Chciałem jeszcze słowo powiedzieć... Po pierwsze: też nie utożsamiałbym pisania autobiografii i życia – autobiografie są jednym z literackich przejawów twórczości. Druga sprawa: jeśli chodzi o powierzchnię obrazu, to my, kulturoznawcy i antropolodzy, głęboko w niego zaglądamy, natomiast obrazy jednak podlegają temu opisowi powierzchni dosyć często. Chciałbym na to zwrócić uwagę: powierzchnia staje się głębią, po prostu – to jest ten problem sporu między wami. Chciałbym się odnieść do tej sprawy związanej z początkiem cywilizacyjnym... Samochód... Widzę różnicę między samochodami sprzed trzydziestu lat i tymi dzisiaj; jeśli chodzi o te niepokoje, ja je rozumiem, tylko że mam wątpliwości, czy tu rzeczywiście dzieje się jakościowo coś aż tak mocno innego, iż mamy do czynienia z jakimś radykalnym ścięciem, bo przecież nawet gdybyśmy pomyśleli o takich koncepcjach jak ta o aktorach sieci, w ogóle o tej nowej ontologii sieci, przeciwstawiając ją starej ontologii czy myśleniu w kategoriach systemu, ta sieć oczywiście będzie bardziej dynamiczna, mamy inne czynniki sprawcze, mamy rzeczywiście te podmioty, ten procesor, nad którym na dobrą sprawę nie panujemy... Pojawiają się w naszym ludzkim świecie takie elementy, które są właśnie nowymi aktorami. I które są poza naszą kontrolą, a wpływają na charakter – i stąd ta metafora sieci może miałaby zastąpić system... Natomiast z drugiej strony przecież ten świat, to znaczy stare koncepcje i stare opisy w ramach tej starej ontologii w cudzysłowie też mówią o *self-organized*, samoorganizacji. Uczestniczyły w nim też różne, powiedzmy, mniej ludzkie podmioty, ta technika nam towarzyszy od dosyć dawna. Czy tu jest taki radykalny przełom, że nagle tracimy nad czymś kontrolę, coś innego będzie?... Zawsze coś nas w tej historii wspomaga. Taki jest porządek cywilizacji, on jest kumulatywny... Rozumiem te obawy, a z drugiej strony myślę, że być może aż takiego rozłamu i przecięcia nie będzie.

Monika Sznajderman: Ja trochę z innej beczki, to mi się skumulowało po kilku wcześniejszych wystąpieniach... Chciałam bronić opisów przeżyć, mimo że są niedoskonałe i że język nie wystarcza, żeby je zakomunikować komuś, kto czegoś takiego nie przeżył. Być może to jest naiwne, ale ja na przykład skorzystałam z tego, że słuchałam referatu o chodzeniu, o foczeniu, dlatego, że jesteśmy w stanie – może to zależeć od wrażliwości, od doświadczeń – wybudować w sobie coś takiego przez porównanie z jakimiś innymi doświadczeniami... Można sobie to jakoś zrekon-

struować na tyle, że się coś nowego poznaje. To taka ogólna uwaga.

Z.B.: Jeszcze tylko sobie udzielię głosu, chodzi mi o jeden szczegół językowy. Pan przywołał pojęcie związane z tą nową wrażliwością czy nową sytuacją kulturową... *interstanding*... i mówił o tym *understanding*. Myśmy kiedyś z panią Markowską, socjolożką, przekładając tekst nasz na angielski, odkryli że tak antropologicznie *understanding* to znaczy: ustawić poniżej czegoś.

Kiedy poznajemy jakąś inną rzeczywistość kulturową czy innego człowieka, to my nie tyle chcemy wejść w jego w rolę, ile z jakimś szacunkiem jesteśmy poniżej tego, co mamy poznać, i kładziemy akcent na to *under* – już nie podstawiamy się pod niego, jak aktor, powiedzmy, w tej starej tradycji aktorskiej, np. metody Stanisławskiego i tak dalej, że on będzie właśnie pod tę rolę wpisywał, tylko to jest swego rodzaju szacunek: my jesteśmy niżej od tego, co mamy poznać. Dziękuję.



Jerzy Nowosielski, *Abstrakcja*, 1998, wł. Teresa i Andrzej Starmachowie.